
Poszerzyć rozum

Z ks. prof. Jerzym Szymikiem rozmawiają Jan Maciejewski i Krzysztof Mazur

O logosie, chrześcijańskiej wizji uniwersytetu, Josephie Ratzingerze i o tym, że Boga nie można trzymać w antryju.

Długo zastanawialiśmy się, jak zacząć rozmowę na temat logosu – pojęcia tak szerokiego, na tak wiele różnych terminów możliwego do przetłumaczenia. W końcu zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie zacząć od księdza osobistego doświadczenia. Wstęp do trzeciego tomu Theologia benedicta, sumy myśli Josepha Ratzingera / Benedykta XVI, zaczął pisać ksiądz w momencie, kiedy papież ogłosił swoją rezygnację.

Z ręką na sercu, tak właśnie było. Pięć minut po tym, jak usiadłem do pisania tego tomu, zadzwonił do mnie ks. Tomasz Jaklewicz z informacją o abdykacji papieża.

Wpływ tego wydarzenia jest wyraźnie wyczuwalny. Podczas lektury ma się wręcz chwilami wrażenie,

że głos księdza drży ze wzruszenia i poczucia wagi tego, co dzieje się dookoła. Logos to przecież nie tylko racjonalność, myśl czy sens, ale również miłość. Lektura Theologia benedicta pozostawia bardzo silne wrażenie tego, że nie tylko podziwiał ksiądz myśl Josepha Ratzingera, ale że wręcz ją kocha. Właśnie to wrażenie chcielibyśmy uczynić wstępem do naszej rozmowy. Z jednej strony „rozpiera” bowiem ono ramy dyskursu akademickiego, poddanego fetyzmowi bezstronności i naukowego obiektywizmu. Theologia benedicta, mimo że spełnia wszelkie wymogi, jakie stawia się książce akademickiej, nie jest w tym sensie typowym podręcznikiem, suchym wykładem na temat myśli wybitnego teologa. Z drugiej natomiast strony ten fakt otwiera przed nami pytanie o to, czym jest

naukowa racjonalność i w jaki sposób wbudowana jest ona w integralną wizję człowieka, stworzenia posiadającego nie tylko umysł, ale również uczucia, emocje i duszę. Przychodzimy do księdza, ponieważ wydaje nam się, że prawdziwa wizja naukowej racjonalności musi być oparta na fundamencie logosu.

Bez wątpienia logos jest absolutnie koniecznym fundamentem prawdziwie naukowej racjonalności. Jeśli chcemy, by rozumność nauk nie stoczyła się w irracjonalność i jej bełkoty albo, przeciwnie, w skrajny i ciasny, odczłowieczony racjonalizm.

Mocno przeżyłem konklawe w 2005 r. Owszem, znałem myśl kard. Ratzingera już wcześniej, uczyłem się jego teologii gdzieś od połowy lat osiemdziesiątych, gdzieś od *Raportu o stanie wiary*, ale jednak decyzję konklawe odebrałem niemal jak doświadczenie metafizyczne. Mógłbym tę sytuację porównać do ewangelicznej sceny z góry Tabor, kiedy to Ojciec mówi do uczniów Jezusa: „To jest mój Syn umiłowany, Jego słuchajcie”. Czułem się wtedy tak, jakby to sam Bóg wskazał mi na Ojca Świętego i powiedział „jego słuchaj i od niego się ucz”...

Logos to w polszczyźnie i rozum, i sens, i słowo. Bardzo bliskie od dawna jest mi to ostatnie znaczenie – *Słowo*. Proszę spojrzeć na Prolog Ewangelii św. Jana. Ten największy chrześcijański tekst na temat Słowa jest poświęcony tajemnicy Wcielenia. Dla mnie jest on źródłem inspiracji do dobrego rozumienia relacji między teologią i literaturą, czy szerzej – między chrześcijaństwem i kulturą. Nasza religia jako jedyna z wielkich religii świata ma tak niezwykły – tak głęboki, niejako organiczny – związek ze Słowem; ba, potrzebuje go, w nim się wyraża. A nauka w „szkole Ratzingera” poszerzyła moje rozumienie logosu o pozostałe znaczenia: rozum, sens, racjonalność.

Mówił ksiądz o Prologu św. Jana i związaną z tym fragmentem ewangelii tajemnicą Wcielenia. To jest też chyba miejsce, w którym widać bardzo wyraźnie, jak ta boska racjonalność bardzo różni się od potocznego, naznaczonego tradycją oświecenia pojmowania racjonalności.

Myślę, że do oświecenia, pozytywizmu i tego, jak zubożyły one koncepcję rozumu, jeszcze przejdziemy. Natomiast kiedy tu mówię o tajemnicy Wcielenia, podkreślam fakt, że poprzez Wcielenie Boga logos-sens stał się uchwytny, i to w podwójnym znaczeniu tego słowa. Po pierwsze, dzięki temu, że Sens (Logos) stał się konkretnym człowiekiem, jest on dla nas osiągalny, dosiężny, bliski, właśnie konkretny. Wynika z tego kolejna fascynująca rzecz: w Chrystusie sens świata stał się zrozumiały, pojmowalny, czytelny. Tradycja patrystyczna ukuła zwrot, który oddaje to zjawisko w bardzo sugestywny sposób: „Słowo stało się krótkie”, albo w innym wariancie: „Logos się skurczył, stał się maleńki”. Nieskończony Logos, stwórca i jednocześnie sens świata, stał się niemowłkiem. Na tym polega geniusz chrześcijaństwa. Na tym polega Boska logika: ponieważ Bóg jest tak nieskończenie wielki i wszechmocny, dlatego może stać się tak mały i bezbronny; może stać się małym dzieckiem. Poza tym, że jest on mały i bezbronny, jest również w pełni człowiekiem – Bóg zstąpił w biologię, we wszystkie mechanizmy i prawa rządzące światem. Nie separuje się, nie oddziela od świata, który sam stworzył, ale rodząc się z Niewiasty, daje temu światu siebie i potwierdza jedność, albo jak mówił w Ratyźbonie Benedykt XVI: analogiczność, między swoją myślą, słowem a rzeczywistością, w której żyjemy.

Czyli logos to racjonalność, analogia między Jego myślą a sposobem, w jaki działa świat, wynikająca z Wcielenia. Gdzie natomiast widzi ksiądz w tej konstrukcji miejsce dla tego, o czym mówiliśmy na początku, logosu jako rozumnej, ale przecież też szalonej miłości?

Wspaniałość wiary chrześcijańskiej i wynikającego z niej rozumienia rzeczywistości polega m.in. na tym, że Bóg, ów genialny Inżynier, który stworzył galaktyki, ludzi, otaczającą rzeczywistość, wszystko – ten geniusz wykrwawia się na krzyżu. Wykrwawia z miłości. Tu jest sedno chrześcijaństwa. Logos jest miłością. Rozum rządzący światem jest miłością, a nie potworem. Taka jest istota Dobrej Nowiny... Natomiast w kontekście tego, co – jak rozumiem – szczególnie panów interesuje, czyli logosu jako fundamentu dla nauki, wiedzy, ale też

i tego, o czym mówiłem teraz – czyli boskiej syntezy rozumu i serca, rozumności i miłości – fascynująca jest uwaga Benedykta XVI z drugiego tomu *Jezusa z Nazaretu*. Przywołuje on pierwsze słowa wypowiedziane przez Jezusa na krzyżu: „Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią”. W rozważaniu tego zdania skupia się właśnie na niewiedzy oprawców Chrystusa. W tym kontekście odwołuje się też do przemówienia św. Piotra w dzień pięćdziesiątnicy, w którym mówi do Żydów, że ci „działali w nieświadomości”, oraz do listu św. Pawła do Tymoteusza, w którym pisze on: „działałem z nieświadomością”. To zdanie wypowiedziane przez Jezusa staje się dla Ratzingera pretekstem do odpowiedzi na pytanie: jak można być świetnie wykształconym, a jednocześnie zwyczajnie głupim? Odpowiedzią jest pycha – wiedza, która próbuje być samowystarczalna, oparta tylko na samej sobie i siebie pewna, a nie szukająca fundamentu w Sensie i Słowie, nie prowadzi do poznania prawdy, ale w przeciwnym kierunku. XX w. i jego totalitaryzmy – to wszystko są efekty pychy wiedzy, ludzkiego rozumu, który próbował być samowystarczalny. Papież kończy to rozważanie słowami: „Czy właśnie nie z powodu naszej wiedzy jesteśmy niezdolni poznać samą prawdę, która staje przed nami w tym, co poznaliśmy? Czy nie unikamy przypadkiem bólu zadawanego przez ową prawdę poruszającą do głębi serce?” Taki właśnie jest Bóg: chce, żebyśmy go poznawali, chce być rozumiany, być blisko nas. Ale współczesny świat nie chce, boi się Boga zbyt bliskiego; woli Go trzymać w antryju [przedpokoju – przyp. red.]

Skoro mowa o lęku świata przed bliskością Boga, to pomówmy może o tym, co wydarzyło się w 2006 r. w Ratyźbonie. Za sprawą wygłoszonego wtedy wykładu papieża koncepcja logosu stała się wydarzeniem medialnym na skalę całego globu. Poza oczywistym kontekstem bezmyślnej nagonki na papieża, tamte wydarzenia mogą mieć jeszcze jedno dno. Chodzi mi mianowicie o dialog ze światem, jaki prowadzi Kościół. Ratyźbona była podbiciem stawki jeżeli chodzi o język, w jakim dialog ten ma się odbywać. Ma to być właśnie język logosu, sensu, boskiej analogii. Analogii pomiędzy myślą bożą a funkcjonowaniem świata. W ten sposób papież ogłasza koniec odwrotu i przeformowanie szyków w Kościele.

Ma on już nie tylko wstuchiwać się w to, co świat ma mu do powiedzenia, co dokonać przemiany sposobu, w jaki świat myśli – przemiany jego rozumu.

Zacznę może od tego, że w przekazywaniu myśli Ratzingera, moje skromne zadanie postrzegam jako próbę dokonania translacji tej myśli/refleksji nad Wisłę i Odrę. W środowisku bardzo mi bliskich współtowarzyszy wielu teologicznych bojów, najogólniej w środowisku polskiej teologii, panuje nie małe niezrozumienie dla myśli Benedykta XVI, ponieważ jest on Niemcem. Nie jest to niezrozumienie językowe – wielu z nich zna niemiecki znacznie lepiej ode mnie. Mówię tu raczej o braku zrozumienia mentalności. Jako Ślązak mam bliższy dostęp kulturowy do Bawarii, dzięki czemu mogę być łącznikiem pomiędzy tamtą mentalnością a naszą.

Ukryta opcja teologiczna.

(*Śmiech*) Coś w tym jest. Mówię o tym dlatego, że teologia niemiecka ma ogromny wkład w dzieje Kościoła. I ufam, że – mimo aktualnych kryzysów – także wielką przyszłość. Natomiast źle uprawiana może być piekielnie niebezpieczna, może służyć wyprowadzaniu ludzi z Kościoła... Ale to jednak boczny wątek. Ważniejsze, Benedykt XVI mówił w Ratyźbonie, że wiara ma moc poszerzenia rozumu, otwarcia go na nowe częstotliwości, poprzez które uzyskuje on dostęp do tajemnicy wiary, dzięki której wie on (rozum), że nie jest Bogiem. Idźmy dalej, do teologii. Właśnie wiara naukowa, czyli teologia, może wyleczyć rozum naukowy.

W swojej książce przywołuje ksiądz jedną z Ratzingerowskich dychotomii, rozróżnienie ratio od intellectus. Pierwszy termin oznacza „czysty rozum”, natomiast drugi jest już głębszy – intellectus to zdolność do widzenia duchowego, które sięga dalej niż samo ratio.

Ta dychotomia wiąże się bezpośrednio z tym, o czym było przed chwilą, czyli z kuracją, jaką naukowemu rozumowi może zafundować teologia. Akt wiary jest wydarzeniem rozszerzającym granice indywidualnego rozumu. Ratzinger mówi, że trzeba rozszerzyć promień rozumu; potrzebujemy

takich form zdobywania pewności, które biorą pod uwagę całego człowieka. Jego doświadczenie było go profesora akademickiego – profesora, którego Bóg zechciał uczynić papieżem, jak sam o sobie mówił – było dla niego istotne. Dlatego też jego rozważania o logosie/racjonalności nigdy nie są zawieszane w próżni, ale osadzone w konkretnej rzeczywistości – również rzeczywistości akademickiej. Często podkreślał, że wielkie uniwersytety europejskie powstały z ufności w zdolność ludzkiego rozumu do poszukiwania prawdy, prawdy całej, integralnej, a nie tylko samej wiedzy; prawdy, która będzie mogła stać się sposobem życia. Współczesny rozum stał się „głuchy na boskość”, usunął religię z przestrzeni racjonalności i zepchnął ją w dziedzinę subkultury. Benedykt XVI apelował o poszerzenie rozumu, o uleczenie swoistej głuchoty, czyli o odzyskanie przez rozum słuchu na wymiar transcendencji. Tylko w ten sposób uda się odzyskać tę prądną ufność, która ufundowała uniwersytet i odzyskać dla przyszłych pokoleń idee integralnej formacji akademickiej, opartej na wielkiej jedności poznania zakorzenionego w prawdzie i ku jej odkrywaniu wiodącej.

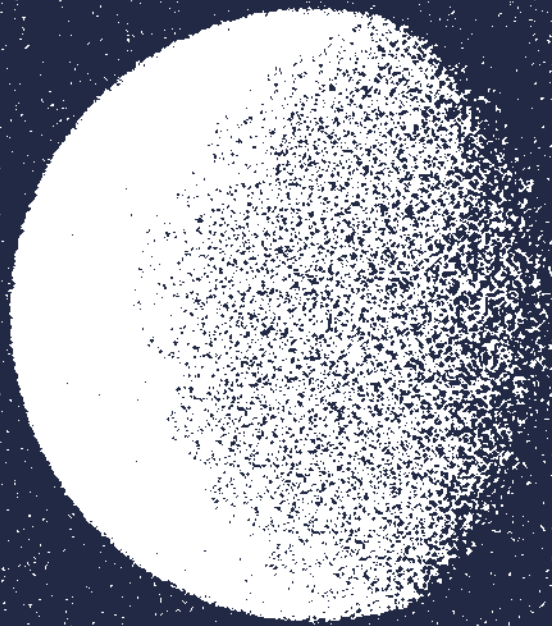
Pozostajmy na chwilę przy tej głuchocie rozumu, jego zawężeniu. Myślę, że Ratzinger jest najbardziej przenikliwym krytykiem oświecenia i pozytywizmu, jaki aktualnie chodzi po tym świecie. Właśnie ta wąskość współczesnego rozumu jest czymś, co szczególnie nas interesuje w kontekście uniwersytetu i jego powrotu do źródeł – do uniwersalności i integralności poznania.

Ratzinger posługuje się różnymi metaforami opisującymi chorobę rozumu. Jednocześnie jest on w pełni świadomy, że to, kim jest, jaka była droga jego życia, stawia przed nim jako papieżem bardzo konkretne wymagania. Skoro Bóg uczynił profesora papieżem, to właśnie po to, by postawił on walkę o pojednanie rozumu i wiary w centrum swojego pontyfikatu – tak sam o tym kilkakrotnie mówił. To jest też jeden z wątków tego pontyfikatu, wątek, który został mało zrozumiany. Stało się tak m.in. dlatego, że chorujący rozum, odcięty od wiary (i dlatego chory), wiary, która jest źródłem wszelkiej żywotności (także rozumu!), postępuje zdolność do przyjmowania prawdy jako

fundamentalizm. Za w pełni rozumne chce on uznawać tylko to, co da się zweryfikować na drodze doświadczalnej. Papież mówi w tym miejscu o znużonym, uspionym rozumie; rozumie, który utracił świadomość tego, czym tak naprawdę jest. Jednym z głównych celów tego pontyfikatu było obudzenie uspiętego rozumu. Oczywiście, tym, co uspiło rozum, był w ogromnej mierze pozytywizm i jego pochodne. Ratzinger, jeszcze jako kardynał, porównuje pozytywizm do katarakty, która nie pozwala rozumowi w pełni widzieć, czyni nas ślepyimi na to, co stanowi istotę człowieczeństwa. To paradoksalne, ale pozytywizm, który był owocem pychy człowieka i jego poczucia samowystarczalności (i w tym sensie jego „śmiałości”), w gruncie rzeczy odebrał rozumowi odwagę. Uczynił go kalekim, zmałił ostrość i jasność jego widzenia. Rozum został „zakorkowany” w pozytywizmie, w jego nędzy, pozornie oferującej czystą racjonalność, która ostatecznie okazuje się jednak dogmatyzmem irracjonalizmu.

Kantyzm i pozytywizm postawiły człowieka w przekonaniu, że sam może być Bogiem, że Bóg, jeśli istnieje, powinien się nam manifestować bądź nie, tak jak sobie tego zażyczymy. Ale kimże jesteśmy, żeby dyktować Bogu, co On może, a czego nie? Jeśli Pan Bóg będzie chciał, to po tym stole będzie chodziła Matka Boska. To, że On nie chce, żeby tu i teraz chodziła, to Jego sprawa. Jest to w jakiś sposób ważne dla prawideł stworzonej – przez Niego przecież - rzeczywistości. Ale co jakiś czas Bóg chce, żeby Matka Boska się gdzieś przeszła. Po jakiejś Fatimie czy jakimś Lourdes. Okaleczony rozum jednak mówi: nie, cuda z kart Ewangelii, poczęcie Jezusa z Dziewicy, zmartwychwstanie Ukrzyżowanego i Lourdes nie są możliwe.

Chciałbym teraz postawić praktyczne pytanie: jak według księdza powinien dokonać się proces „poszerzenia rozumu”, uzupełnienia ratio o intellectus? Możemy sobie przecież wyobrazić, że naukowiec wchodzący do środowiska akademickiego, które funkcjonuje w oparciu o racjonalność w sensie ratio, i próbuje, np. na poziomie publikowanych przez siebie tekstów naukowych czy treści wygłaszanych wykładów, uzupełniać je o poziom duchowego widzenia, intellectus, zostałyby oskarżony o to, że nie



uprawia on nauki, tylko ideologię. Możemy się przecieć zgodzić, że w środowiskach naukowych panuje konsensus co do tego, że intellectus to już nie nauka, tylko światopogląd. Czy to oznacza, że należałoby stworzyć równoległą rzeczywistość uniwersytecką, w której istniałyby odmienne kryteria definiowania tego, co naukowe? Przecież to oznaczałoby stworzenie katolickiego getta.

(Chwila milczenia) Postaram się odpowiedzieć na to pytanie na dwóch poziomach. Po pierwsze, tym różnimy się od Włodzimierza Iljicza czy od Adolfa, że jesteśmy cierpliwi. Prawdziwa cierpliwość bierze się z pokory. Wiemy, że nie jesteśmy panami tego świata. Nie musimy budować utopii, dla której muszą umrzeć miliony ludzi, tylko po to, aby następni mogli żyć już we właściwym świecie. Świecie, który i tak nie nadejdzie. Chrzescijanie robią tyle ile mogą. Jesteśmy tylko marnymi ludźmi, a Panem historii jest Bóg. Chodzi o nadzieję, nie o tani optymizm. Pokora jest również jedną z najważniejszych kategorii w myśleniu Benedykta XVI. Pomyślmy, poprzez Wcielenie Bóg wkroczył w historię, nie w abstrakcję, ale w dojmująco konkretny związek z przemijającym momentem dziejów człowieka i świata. Poprzez Wcielenie dokonało się przeobstwienie wszystkich wymiarów życia człowieka, zarówno biologii, jak i historii. Ratzinger pisze w *Duchu liturgii*, że Wcielenie jest wyciśniętym w ziemi śladem, wręcz gwarancją, że nie wymyślamy historii, nie tworzymy jej, ale, że poprzez nią jesteśmy dotknięci Słowem i pozostajemy z nim w relacji. Na tym polega istota chrześcijańskiego pojmowania historii; chrześcijańskiej pokory wobec jej biegu. Pokory, ale nie bezradności. Nadziei, ale nie optymizmu.

Jeżeli zaś chodzi o drugi poziom, na którym chciałbym odpowiedzieć na to pytanie, to jest on już związany z moimi osobistymi doświadczeniami. Chodzi o obecność teologii na uniwersytecie. Doświadczam tej sytuacji – pracy na wydziale teologicznym, który jest częścią uniwersytetu – od 30 lat. Ma to swoje wieloraki – dla teologii, dla Kościoła, dla uniwersytetu, dla naszego świata – konsekwencje, dobre i złe. Ale w gruncie rzeczy przeważają dobre; spotkania z ludźmi, dialog, jakiś

rodzaj wcale niepłytkiej misji, okazją dla teologa do nauczenia się czegoś ważnego. Teologia jest na polskim uniwersytecie A.D. 2016 zarówno starszą siostrą (bo fundowała europejski uniwersytet wiele wieków temu), jak i młodszą (bo od niedawna jest pełnoprawną współtwórczynią wolnej polskiej wspólnoty nauk akademickich).

Czy mamy zatem dostosowywać nasz żargon naukowy do języka pozytywizmu i starać się antropologię katolicką przetłumaczyć na język nauki? Albo też nie iść na żadne kompromisy, tylko publikować te teksty gdzieś indziej i czekać, aż świat nauki zrozumie, że mamy coś ważnego do powiedzenia?

Wybitnym strategiem w tej dziedzinie był Jan Paweł II. Gdzie tylko się dało, działał, pisał, wygłaszał przemówienia i wykłady, „wykorzystywał” media z całą ich ambiwalentną naturą, ale nigdy nie sprzedał się żadnym demonom nowoczesności i żadnym innym. To jest też właśnie pytanie, które sam sobie często zadaje: czy nie idę na kompromisy? Czy nie wybieram łatwiejszej drogi w obawie przed ostracyzmem? Pod tym względem staram się uczyć od Wojtyły – jeśli to tylko możliwe, bo jednak mówimy teraz o różnych formatach...

Czy te kanony, które istnieją w świecie akademickim, nie mówią w sposób dorozumiany: to jeszcze możesz powiedzieć, ale z tym możesz iść najwyżej do kościelnej gazetki?

Owszem, bywa. Teolog, aby dostać grant naukowy, musi się sporo namęczyć, niekoniecznie w sensie pracy akademickiej (oczywistej). Musi się wytłumaczyć z tego, co robi, i starać się „sprzedać” przedmiot swojej pracy jako religioznawczy albo historyczny, albo kulturotwórczy itd. Jego szanse rosną zwłaszcza wtedy, kiedy będzie to historia uprawiana krytycznie. Tymczasem teologia nie ma się z czego tłumaczyć. Jest ona próbą objęcia całości, stawia samej sobie najważniejsze pytania współczesnego człowieka. Nie może pozwolić się zepchnąć ani do laboratorium, ani do zakrystii.

Co jednak z tymi członkami społeczności uniwersyteckiej, którzy nie tylko nie są wierzący, ale nie

aprobują intellectus jako modelu uprawiania nauki? Jak należy ich do tego przekonać, aby był to w pełni wolny akt?

Wiary i miłości nie istnieją bez wonności, to jasne. Nie wiem, co należy zrobić z tymi ludźmi, ale wiem, co powinniśmy robić my, wierzący. Jediną drogą jest tu świadectwo. Prawda musi promieniować, pociągać swoim blaskiem. Nie może zniewalać. W sens, logos świata jest wpisana wolność. Pan Bóg chciał, żeby świat był projektem niedokończonym – i to Go m.in. odróżnia od tych, którzy się za Niego uważają. Wolność jest sensem, strukturą świata, dlatego też nie jest on nigdy do końca przewidywalny, nie da się go sprowadzić do logiki matematycznej. Mówię z takim naciskiem o osobistym świadectwie i wspominam logikę matematyczną (lepiej: cyfrową), ponieważ Bóg rozmawia z nami zawsze osobiście – jako Osoba z osobami. W Biblii Bóg nadaje ludziom imiona. Imię jest tajemnicze i kryje się za nim nieprzewidywalność osoby. Na drugim biegunie stoi banalność liczby. Bóg, dając nam imię, zostawia nam wolność, przestrzeń, w jakiej będziemy mogli wypełnić to imię konkretną treścią. Liczbami określały ludzi totalitaryzmy – w gułagach i obozach koncentracyjnych.

Obserwujemy aktualnie w Polsce próby dążenia do reformy uniwersytetu, ale raczej w kierunku komercjalizacji. Pojęcie logosu nie pojawia się w tych dyskusjach. Stąd moje, bardzo praktyczne pytanie, co robić?

Veritatis splendor (łac. blask prawdy; tytuł encykliki Jana Pawła II).

A co jeżeli środowiska akademickie nie widzą tego blasku? I nie tylko nie widzą, ale wypychają tych, którzy chcą go widzieć, poza główny nurt nauki?

Żołnierze wyklęci są dobrym przykładem. I mocnym, i aktualnym. Za życia starano się ich na wszelki sposób zniszczyć, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, złamać w nich ducha. Kolejnym etapem zaś było zatarcie pamięci o nich, skazanie na zapomnienie. A jednak jesteśmy świadkami odrodzenia pamięci o nich. I to na niezwykłą skalę.

Dla mnie osobiście to bardzo pocieszająca historia. Pan Bóg jako prawdziwy „Pan historii” pokazuje nam na tym przykładzie, że tak naprawdę wystarczy nam czynić dobrze, zachowywać przykazania i ufać. Naszym – pszenicznych ziarenek – zadaniem jest trwać wiernie, robić swoje i umrzeć. On wywiedzie z tej śmierci i z tego dobra życie, da owocowanie stokrotne.

W tym, o czym ksiądz mówi, jest olbrzymia wiara w siłę logosu, jego atrakcyjność. Wydaje mi się, że chce nam ksiądz powiedzieć, iż samo istnienie tej „warstwy warstw” naszej rzeczywistości jest gwarancją, że logos powróci na uniwersyteckie salony. Tak jakby miało się to stać samo przez się, a my chcemy ten proces przyspieszyć, pomóc mu.

Moja dusza duszpasterza (przede wszystkim, najgłębiej, pod warstwą „naukowca”), podpowiada mi, że nie powinniśmy się poddać temu działaniu diabła, które odbiera poczucie sensu naszej obecności i pracy, nie pozwolić na wypchnięcie nas poza nawias. Trzeba cierpliwie trwać. To pozornie tak mało, ale naprawdę bardzo dużo.

Jest w księdza książce intrygująca myśl: nauka, o ile tylko jest uprawiana rzetelnie, nie jest w stanie sfalsyfikować istnienia Boga. Nauka jest poznaniem logosu, każde odkrycie naukowe prowadzi więc do poznania Boga. Skąd w takim razie wzięło się to powszechne przekonanie o konflikcie nauki i wiary?

To zależy jak daleko się cofniemy.

Do Bacona, jak zawsze u Ratzingera.

Tak, on wraca jako dyżurny szwarccharakter, zwłaszcza w encyklice *Spe salvi*. Ale możemy się też cofnąć do Lutra, średniowiecznych nominalistów albo i do tradycji gnostyckich.

Co łączy wszystkie te zjawiska? Jakby ksiądz scharakteryzował tę tradycję idącą od gnostyków przez nominalistów Lutra i Bacona aż do oświecenia?

Hybris. Bóg jest dosiężny tylko w skłonieniu głowy i karku, a pycha na to nie pozwala. Ostateczną we-

ryfikacją jest „kościelność” chrześcijaństwa, która domaga się od nas pokory. Bo to, że Kościół jest lichy, każdy widzi i wie. Ale jeżeli Kościoła miałyby zabraknąć, to pozostaniemy w mgle mniemań. Mniemań na temat tego, kim jest Chrystus, jakie było Jego przesłanie, czego od nas wymaga. Jedni będą mówić, że to była tylko postać historyczna, inni że teolog wyzwolenia, jeszcze inni, że to taki pierwszy hipis, bo miał długie włosy i chodził w sandałach. 40 lat temu bardzo modne były książki o tytułach w rodzaju *Kim jest dla Ciebie Chrystus?* Kiedy czytam je dzisiaj, nie mogę się nie uśmiechać – każdy ma tu swojego Chrystusa i jest on nieraz łudząco podobny do autora danej odpowiedzi. Skąd więc mam wiedzieć, który z nich jest prawdziwy? Ratzinger jest tutaj absolutnie stanowczy: Kościół powie ci, jaki Jezus jest prawdziwy. Tylko Kościół może to powiedzieć. To, co jest momentem wspólnym całej tej tradycji, o której mówiłem, tej od gnostyków po oświecenie, to bunt przeciwko Kościołowi. Sojusz rozumu i wiary to jest też w ogóle bardzo eklezyjalny temat. Wiara poszerza rozum, ponieważ włącza nas, nasz pojedynczy umysł w horyzont rozumienia i pojmowania, który jest większy i starszy niż jakikolwiek z ludzi. Większy, bo obejmuje cały świat, starszy, bo trwa dwa tysiące lat.

Czy myśli ksiądz, że byłby możliwy dzisiejszy kształt nauki, z całym jej pozytywnym dorobkiem, o którym mówi m.in. Jan Paweł II w Pamięci i tożsamości, gdyby nie ten bunt przeciw Kościołowi? Czy nie jest też tak, że samemu Kościołowi te bunty były potrzebne, bo zmusiły go do większego intelektualnego i duszpasterskiego wysiłku?

Tego nie możemy wiedzieć. Myślę, że te wszystkie pozytywne owoce i tak by przyszły, ale nie wymagałyby tylu ofiar. To też jest zagadka wolności. Powiem rzecz może kontrowersyjną, ale jest to moje przekonanie pełne, stuprocentowe: gdyby nie *hybris*, pycha, która oddziela nas od Boga, a tym samym od siebie nawzajem, gdybyśmy słuchali Boga i przestrzegali przykazań (tu: nie zabijaj), inwestowalibyśmy zamiast w produkcję maczuga, dzid, karabinów i bomb nuklearnych w badania nad przeciwdziałaniem skutkom trzęsień ziemi. I dzisiaj (po tysiącletniach takiej

inwestycji) mielibyśmy tę kwestię w małym pałuszku. Ziemia byłaby nam znacznie bardziej poddana. Jak chciał Bóg. Jestem o tym święcie przekonany.

Bunt przeciw Bogu i Kościołowi nie jest żadną sprężyną postępu. Zło jest złem i tyle. Żadna demoniczna dialektyka go nie usprawiedliwi. To, że Bóg potrafi pisać prosto na naszych krzywych liniach – to zupełnie inna sprawa.

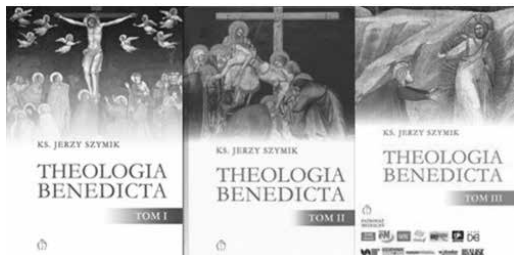
Cały czas poruszamy się w dwóch sferach, obiektywnej i subiektywnej. Obiektywnie można uznawać teo-logiczną strukturę świata, opartą na boskim Sensie, ale jest jeszcze sfera ludzkiej duszy, serca, wolności. Cały czas trwamy w napięciu między tym, co obiektywne, a tym, czego nie da się osiągnąć bez osobistego zaangażowania, bez rzucenia na szalę własnego życia. I w tym napięciu trwa też nauka – na ile opis, odkrywanie świata stanie się odkrywaniem prawdy o nas samych. Jestem w stanie na polu fizyki, chemii czy z perspektywy teorii ewolucji pokazać drugiemu człowiekowi sensowność struktury świata, ale ostatecznie nie jestem w stanie nikogo przekonać, żeby dokonał tego skoku osobistego zaangażowania.

Nie tylko pan. Bóg też – jest Miłością, nie przemocą. Jest stwórcą wolności. To jest coś. o czym mówiliśmy na początku: Bóg, genialny inżynier i stwórca świata, daje sobie przykuć ręce, którymi tworzył ten świat, do krzyża. Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie z chrześcijaństwa.

Rozmawiałem ostatnio z pewnym portugalskim księdzem i zapytałem go: „jak tam u was z powołaniami?”, a on mówi: „wiesz, zależy o jaki region pytasz. Na północy bardzo dobrze, w środku, w okolicy Lizbony, średnio, a na południu fatalnie”. Pytam się zatem dalej: skąd takie różnice? „Bo północ ewangelizowały zakony żebracze, a południe zakony rycerskie”. To było 800 lat temu, a skutki trwają do dzisiaj. Kościół musi więc być strażnikiem wolności, bo bez tego popełnia samobójstwo. Wyznacza granice, jakich nie można przekroczyć, ale jest to jak z trasą narciarską. Mówi nam, gdzie spadniemy w przepaść, ale nie mówi nam, jaki konkretnie ma być tor naszej jazdy.

Z Kościołem jest jak z Księżycem. Kiedy Armstrong chodził po Księżycu, to nie mógł się nadziwić, jaki on jest strasznie lichi. Wszędzie kurz, ciemno, brzydko, nic ciekawego. A jak się patrzy na niego z daleka, to

przecież świeci – bo księżyc nie świeci swoim światłem. Tak samo jest z Kościołem, pełno w nim brudu, im ktoś jest bliżej, tym lepiej to widzi, ale przecież świeci i będzie świecił, bo źródło światła jest poza nim. Z Boga.



Jerzy Szymik

Theologia Benedicta, t. 1–3

Księgarnia św. Jacka

Katowice 2010–2015

t. 1: s. 366; t. 2: s. 378; t.3: 446

Ks. Jerzy Szymik

(ur. 1953) Urodzony w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan archidiecezji katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. Autor 60 książek naukowych, poetyckich i eseistycznych.



Jan Maciejewski

(ur. 1990) Sekretarz redakcji „Pressji”. Mieszka w Krakowie.



Krzysztof Mazur

(ur. 1982) Doktor politologii, filozof, działacz społeczny; prezes Klubu Jagiellońskiego, członek redakcji Pressji; pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego; członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP.